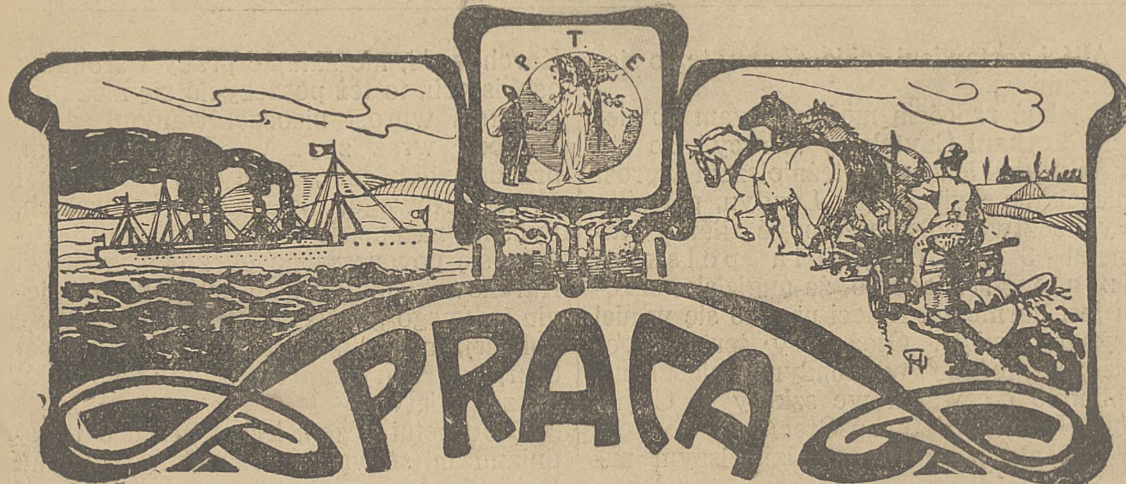


Tygodnik ludowy poświęcony oświacie, wychodźtwu, stosunkom zarobkowym i rozrywce, wychodzi w każdą środę nakładem Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie pod redakcyą Józefa Okołowicza.

Przedpłata całoroczna wraz z przesyłką pocztową wynosi: w Galicyi i całej Austryi 2 K., w Niemczech 2.50 Mk., we Francyi, Szwajcaryi i Argentynie 4 fr., w Brazylii 3½ milr., w Danii i Szwecyi 3 K. skandynawskie, w Ameryce półn. 1-dol, w Królestwie i Rosyi 1.50 rub. Przedpłatę przesyłać można w markach pocztow. wszystkich krajów. Adres redakcyi i admin.: „Praca“, Kraków, Radziwiłłowska 23

Nr. 68. Kraków, dnia 23. kwietnia 1913. Rok II.

Do naśladowania.

Potężne państwa, jak Niemcy, Anglia, Francya, Włochy, otaczają swe wychodźtwo nie tylko opieką prawa w nowych krainach, ale dbają też o to, by wychodźcy nie wynaradawiali się i nie zrywali związku z rodzimym krajem.

Dlatego to konsulaty tych państw zakładają wielkie szpitale, szkoły, przytułki, w których Niemiec w Anglii, Włoch we Francyi, Niemiec w Belgii, Francuz w Niemczech i t. d. znajduje pomoc w chorobie, obronę w potrzebie, a nadewszystko znajduje naukę w ojczystym języku dla swej dziatwy.

Wiadomo przecie, że dziatwa, to przyszłość każdego narodu. Dbać o nią należy, wzmacniając opiekę rodzicielską przez umiejętną i należną pomoc w nauczaniu.

Oto naprzykład, mieszkam w Londynie. Są tu szpitale dla Włochów i Francuzów, są liczne szkoły przy katolickich kościołach niemieckich dla dziatwy robotników niemieckich, są liczne towarzystwa i stowarzyszenia obcokrajowców, szczodrze zaopatrywane w fundusze przez odpowiednie państwa. Przekonałem się o tem osobiście i naocznie, gdym przypadkiem, szukając polskiej Misyi w Londynie, zaprowadzony został przez policyanta do bogatej i obszernej Misyi niemieckiej, w najbrudniejszej i najbiedniejszej dzielnicy Londynu założonej.

Uciekłem stamtąd conajprędzej i bardzo ostro przymówiłem policyantowi, który Polaka w Londynie do niemieckiej Misyi kieruje.

A cóż mówić i pisać na temat opieki nad polskiem wychodźtwem! Rząd rosyjski przecie nie będzie dbał o to, by nasze dzieci na wychodźtwie nie zapomniały mowy ojczystej, albo też, urodzone na ziemi obcej, by się mowy polskiej nauczyły. Rząd pruski, raczej wszystkich sił dołoży, by nas na własnej ziemi doszczętnie wynarodowić, niż starać się tam o polską szkołę w Anglii, lub we Francyi. Pozostaje rząd austryacki. Niestety, po macoszemu traktuje i on wychodźtwo nasze, choć mamy w rządzie ministrów rodaków. Ktoby tam z nich dbał nawet o szkoły polskie, nie to w Londynie, ale na samej Bukowinie i Śląsku Cieszyńskim.

Tedy pozostawiony jest nasz naród sobie. Nie mając państwa i rządu polskiego, dziw, że ma takie wychodźtwo, tak narodowo uświadomione i tak do ojczyzny tęskniące, jak w Ameryce.

Aliści zostawieni sobie, dbamy też o siebie sami.

Z jakąż radością możemy wam obwieścić, kochani Czytelnicy „Pracy“, że oto w tak wielkiem, najpotężniejszem wprost mieście na świecie, jak Londyn, potrafiło wychodźtwo polskie założyć siłami własnemi 3 szkółki dla polskiej dziatwy. Wiadomo, że angielska szkoła jest darmowa. Dzieci prędko się w niej wynaradawiają. Otóż, aby temu zapobiedz, założono w Londynie niedzielne, sobotnie i czwartkowe szkoły w Charlton, Hoxton i Bethuan Green.

Właśnie podajemy w dzisiejszym numerze obrazek, przedstawiający uczniów i uczenice ze szkółki w Hoxton, przy Towarzystwie Polskiem w Londynie N. na Charles Square 38, od roku istniejącej. Prowadzi tę szkółkę dr Tadeusz Karchowski, nie żałując pracy i środków osobistych, to też poszczycić się może rezultatem wprost nieoczekiwanym.



Dziatwa ze szkółki polskiej w Londynie w dzielnicy Hoxton.

Kiedy wraz z p. W. Bunikiewiczem, przedstawicielem „Gazety Wieczornej“ i „Wieku Nowego“, dzienników lwowskich, byliśmy na popisie tej szkółki, nie mogliśmy się powstrzymać od złożenia drowi Karchowskiemu gorącej podzięki w imieniu jedynego „państwa naszego“ — prasy polskiej, za wysiłki i nadzwyczajną wprost energię w wyrywaniu obcemu środowisku naszej dziatwy.

Oto 8-letni uczeń, który przed 3 tygodniami ani słowa po polsku nie rozumiał. Dziś z trudem sylabizuje, ale za to z przejęciem i zrozumieniem śpiewa piękne piosenki nasze w dziecinnym chórze. Oto znowu uczenica, od roku w szkółce, a już nie tylko, że wyzbyła się zupełnie angielskiego akcentu, lecz pięknie i potoczyście deklamuje wiersze Mickiewicza i Konopnickiej. Naturalnie w szkole angielskiej dzieci nasze robią jeszcze większe postępy, gdyż rozwijają swój umysł, uwagę i uczucia podwójnie!

Przez rok wyuczył dr Karchowski 30-ścioro przeszło dzieciarni 14-tu pieśni naszych!

Do naśladowania Londynu wzywamy wychodźców naszych we Francyi, Belgii, Szwecyi, Danii i we Włoszech. Polskie Towarzystwo Emigracyjne w miarę sił i możności nie omieszka poprzeć tych starań. Londyńskiej szkółce ofiarowuje swą biblioteczkę w nadziei, że posłuży ona do ugruntowania podjętej i zbożnej pracy.

M. Dąbrowski.

Nasi w Danii.

Polskie Towarzystwo Emigracyjne wysłało na wiosnę partyę, złożoną z 46 sezonowych robotników do Danii; po 3 tygodniach przyszedł telegram, że ludziom naszym źle. Dyrekcya wysłała mnie dla zbadania nieporozumienia i obrony robotników.

Nic ważnego tam nie było, bo chodziło o to, że robotnicy dostawali ziemniaki nie przebierane; a nie chciało się im wieczorami obierać zgniłych i zmarzniętych ziemniaków. Po załatwieniu sporu zacząłem się przyglądać, jak nasi ludzie żyją w Danii, która, jak wiadomo, jest krajem bardzo bogatym, choć ziemie nie lepsze od naszych wogóle, a stanowczo gorsze, jak w Krakowskiem, lub na Podolu. Zarobki mają nasi ludzie dobre, lepsze jak w Prusach, bo płace akordowe i dzienne wyższe, prawo broni robotników przed wyzyskiem, lub niedotrzymaniem kontraktu, to też nasi ludzie wracają sami co rok na to samo miejsce, a prócz tego jeszcze i sprowadzają nowych.

Nie wszyscy jednak przywożą stamtąd pieniądze. Kobiety i dziewczęta zawsze przynoszą grosz do domu, żonaci często, chłopcy prawie nigdy, bo wszystko przepiją i wydadzą na ubrania. Robotnicy nasi nie potrafią jakoś zmusić się do szano-

wania cudzego kraju; robią często awantury, krzyczą po nocach, a tego może najbardziej Dania nie lubi. Czasby też był, by ludzie z Polski zaczęli trochę więcej myśleć o czystości i porządku; widziałem nieraz na kocach błoto z butów robotnika. Tego przecież przez wstyd przed obcymi nie powinno się robić. Czyż to tak trudno zdjąć buty, nim się człowiek położy odpocząć?

W Danii, gdzie niema wielkich chłodów, w ścianach mieszkań poumieszczane są wentylatory, aby powietrze, szczególnie w nocy, było czyste i świeże, by płuca. które podczas snu bardzo dużo powietrza wprowadzają, dawały to powietrze najzdrowsze; otóż wentylatory robotnicy nasi zawsze zatykają słomą, lub szmatami, aż się Duńczycy pytają, czemu to nasi ludzie nie lubią oddychać w nocy świeżem powietrzem, a wolą zaduch, na łóżkach zaś brud i robactwo?

Co prawda, niema w Danii na razie nikogo, ktoby umiał do ludzi przemówić, ktoby się nimi serdecznie zajął, pouczył o konieczności utrzymywania ciała i mieszkań w porządku i czystości, aby nie dopuścić, żeby imię polskie szarpano po cudzych stronach. Przecież opinia robotnika polskiego zależy tylko od niego. ale na to, by dbać o opinię, trzeba choć raz zakosztować owoców opinii i porównać z tem, co było dawniej. Jak wiec wspomniałem, na razie niema w Danii nikogo oddanego naszym robotnikom. którzy albo sami tam jeżdżą, albo z „aufseherami" (nadzorcami), najczęściej pruskimi. „Aufseherzy" to ciekawi ludzie, przeważnie Niemcy, choć są i Polacy. Wiekszość robotników sezonowych wiozą do Danii „aufseherzy", kupuja im w drodze pożywienie, udaia przyjaciół, a jednocześnie wyzyskuja, jak moga, mogą zaś wyzyskiwać i wyzyskują rozmaicie.

„Aufseher" kupuje chleb, make, kasze, mieso i t. d. w miastach i miasteczkach w większych ilościach, więc tanio: wszystko ma już wyważone, wszystko w woreczkach (z wyjatkiem miesa) i te woreczki daie robotnikom na kredyt, zawsze jednak coś tam z woreczków ubierze, a nastepnie sprzedaje drożej — za fatyge i trud; ma się rozumieć że towar nie iest najlepszy: podwóinie wiec płaca robotnicy za produkty spożywcze i sa zupełnie zależni od „aufsehera", gdyż z reguły biora na kredyt.

Najciekawsze iednak sa kontrakty i płace: „aufseher" bierze od „bauera" (chłopa, czyli właściciela gruntu) całą robotę przy burakach na akord, robotnikom zaś płaci za pierwsze i drugie przerywanie: trzecie — robotnicy wykonują na dniówkę. Jak na tem wychodzą robotnicy, wskazuje następująca tabelka:

Rodzaj roboty		Wypłata	„u aufsehera" (dozorcy)		u właściciela	
			K	Derów	K	Derów
Buraki	cukrowe	1. przerywanie	3	56	4	00
		2. „ „	3	00	3	00
		3. „ „	—	—	2	20
Buraki	pastewne	1. przerywanie	3	56	4	00
		2. „ „	3	00	3	00
		3. „ „	—	—	1	50
Dniówka	zwykła	Kosiarze	—	—	1	50
		Silni chłopcy	1	30	1	35
		Dziewczęta i kobiety	1	15	1	15
		Wyrostki	1	15	1	15
Podczas	żniw	Kosiarze	—	—	2	00
		Silni chłopcy	1	70	1	70
		Kobiety i dziewczęta	1	50	1	50
		Wyrostki	1	50	1	50

Z tego zestawienia widzimy, że „aufseherzy" nie dają na akord trzeciego przerywania, na którem robotnicy najwięcej zarabiają, a prócz tego kosiarzy „aufseher" nigdy nie sprowadza, gdyż i ich prace kładzie na barki młodszych, a różnice w zarobku zabiera sobie. Jeżeli uświadomimy sobie, że „aufseherzy" prowadzą ten proceder od kilkunastu lat, nie zdziwimy się, że majątki ich wynoszą setki tysięcy koron. Jest to krwawica tych 12.000 robotników polskich, którzy jeżdżą do Danii.

Polskie Towarzystwo Emigracyjne posiada kontrakty wprost od właścicieli gruntów, należy więc pamiętać, by zwracać się do P. T. E. o robotę w Danii, a jak ognia unikać „aufseherów" oraz wszelkiego rodzaju oszustów i wydrwigroszów. Leży to zbliżenie robotnika z P. T. E. we własnym interesie tegoż robotnika, gdyż P. T. E. opiekuje się robotnikami nie tylko pod względem zarobków, ale i pod względem moralnym. starając się podnieść ich zarówno siłę roboczą, jako też i poziom umysłowy, przez odczyty, wydawnictwa, gazety i różne książeczki dla użytku robotników i emigrantów.

Włodzimierz Rychter.

Katastrofa żywiołowa w Ameryce.

Święta wielkanocne zawitały do Stanów Zjednoczonych pod znakiem grozy i nieszczęść. W stanach Ohio, Indiana, Illinois, Michigan, leżących na południe od jezior Erie, Superior i Michigan, zerwał się w pierwszym dniu wiosennym taki straszliwy huragan, jakiego pamięć ludzka nie sięga. Rozpętany wicher burzył co słabsze domy, zrywał dachy, tłukł szyby w oknach, wywalał drzewa i poczynił nieobliczalne szkody tak po wsiach, jak i miastach.



Most kolei napowietrznej zburzony przez cyklon w mieście Ohio.

Z niezwykłym huraganem przyszła ulewa, która dopełniła jeszcze miary w nieszczęściu. W wymienionych stanach rzeki wystąpiły z brzegów, zalewając szeroko nadbrzeżne pola, drogi, sioła i miasta. Ogromne obszary stanęły nagle pod wodą, że w niektórych miastach jeżdżono łodziami po ulicach, spiesząc na ratunek najbardziej zagrożonym. Powódź nie tylko zniszczyła stany Ohio, Indiana i sąsiednie, ale zagroziła nawet stanom nad brzegami rzeki Missisipi, która wzmożona nagle bocznymi dopływami, poczęła podnosić się, wylewać tak, że w wielu miejscach również znaczne powyrządzała szkody. Niebezpieczeństwo powodzi było tem straszniejsze, że trwało przez cały tydzień, niemal do końca marca.

Klęską żywiołową został najbardziej dotknięty stan Ohio, ale huragan razem z powodzią przeszedł także przez stany, leżące dalej ku zachodowi po prawym brzegu Missisipi, bo o wielkich szkodach donoszą nawet ze stanu Nebraska, z miasta Omaha. W Ohio całkiem zniszczone zostało stutysięczne z górą miasto Dayton, gdzie szkody obliczają na 20 milionów dolarów. Huragan tak się rozpastwił nad tem miastem, że wszystkie niemal domy uszkodził, a co się ostało jego naporowi, to zniszczyła rzeka, która miasto całkiem zalała. Według doniesień dzienników amerykańskich w mieście tem 50 tysięcy ludzi miało stracić swój dach nad głową. Z innych poszkodowanych miast należy wyliczyć miasto Zanesville w Ohio, gdzie szkoda ma dochodzić do 6 milionów dol. i miasto Peru w Indiana, które przez katastrofę poniosło blizko milion dolarów szkody.

Katastrofa pociągnęła za sobą około 600 ofiar ludzkich. Z liczby tej utonęło 470 osób, reszta znalazła śmierć podczas huraganu.

Nieszczęśliwe stany otrzymały jednak natychmiastowy ratunek od innych stanów, a nawet od rządu federalnego w Waszyngtonie. Posypały się ze wszech stron hojne datki w żywności, odzieniu i pieniądzach. Komitet obywatelski w stanie Ohio



Most zerwany przez powódź.

otrzymał drogą publicznych składek zaraz w pierwszych dniach milion dolarów na rzecz nieszczęśliwych ofiar. Nie szybko jednak mimo ofiarnej i wydatnej pomocy, będą mogły nawiedzione nieszczęściem okolice powrócić do równowagi i dojść znowu do kwitnącego stanu, w jakim się przedtem znajdowały.

Niebywałe rozmiary tej żywiołowej klęski tłómaczą uczeni zjawiskiem geologicznem. Teren bowiem stanów, leżących na południe od Wielkich Jezior, ciągle się zapada, że istnieją poważne obawy, iż wskutek tego kraje te zostaną kiedyś w przyszłości zalane wodą i utworzą dno ogromnego jeziora. Z tem nagłem opadaniem terenu ma się łączyć ostatnia katastrofa żywiołowa.

W stanach nawiedzionych nieszczęściem mieszka także spora liczba Polaków, bo stany te stanowią wielki rdzeń, gdzie, poza wschodnimi stanami skupia się polskie wychodźtwo. Liczba naszych, zamieszkałych w tych okolicach, dobiega trzy ćwierci miliona osób. Ofiar wśród Polaków jednak nie było.

Jak Jurek zaczął służyć.

Siódmą zimę skończył dopiero Jurek, a już był wielką pomocą matce. Nieletni podrostek, nie zaznawszy wczasów dziecięctwa, wcześnie zaprawiał się do trudów i był niejako prawą ręką swojej rodzicielki. Bo jakich obowiązków on to nie spełniał! Do niego należało płukanie naczyń, zamiatanie glinianej podłogi, utrzymanie porządku w izdebce, pasienie kozy, jedynego dobytku, skrobanie ziemniaków, rozpalanie ognia pod wieczór i bawienie rodzeństwa, którego było tyle, że w zakresie mało co wyższej liczby Jurek umiał rachować. Janek, nieco młodszy od Jurka, nie chodzący jeszcze do szkoły, wyprawiał stale hałasy i krzywdził bliźniacze siostrzyczki Marynkę i Ewkę, najmłodszy, Pawełek, spoczywał jeszcze w powijakach. Wszystko to, od najstarszego do najmłodszego, zachowywało się tak krzykliwie, że Jurek nieraz, rozgniewany, siłą pięści zaprowadzać musiał porządek między wrzaszczkami. Pod nieobecność matki zawsze on samodzielnie gospodarował, o ile na czem było.

Całodzienne to zajęcie spadało na Jurka z powodu ciągłej nieobecności matki. Ta bowiem jako komornica, żadnego dnia nie miała swojego, nieraz i bożej niedzieli, latając czy deszcz, czy pogoda, na gazdowskie roboty. Od świtu do nocy harowała w dalekiem polu, a w domu utrzymywał porządek mały chłopczyk. Nie miała innego zastępcy. Ojciec rodziny nocował tylko w domu, zajęty w kamieniołomie, jako nadziennik. Przytem lubił też w karczmie „zalewać proch w piersiach" i bawić się w gromadzie. O dom nie troszczył się prawie, bo panowały w nim bezustanne swary i kłótnie. Zawsze znalazła się między nim a starą jakaś kość niezgody, którą gryźli do późnej nocy, przekomarzając się nieupamiętliwie.

Wychowanemu w takich stosunkach chłopcu życie nie stanowiło tajemnicy ponętnej i nie świeciło gwiazdą radosną. W biedzie i nędzy zostawał cały i nie wiedział, co to chłopięce marzenia. Szczęśliwym czuł się przy zgodliwości ojców i pełnym żołądku po śniadaniu, które nieraz przez całuśki dzień było jedynym posiłkiem. I matka Jurka bowiem trzymała się powszechnego zwyczaju, zamkniętego w przysłowiu: „Chłop dzierży na śniadanie, pan na obiad, cygan na wieczerzę".

Tej wiosny uzyskała matka stałe zajęcie u poblizkiego gazdy, więc mogła przejąć na siebie niektóre Jurkowe obowiązki, przez co chłopiec otrzymywał nieco wolności. Ale gdzież ci tam dziecku komorniczemu do swobody!

Pewnego wieczoru zagadnęła stara starego:

— Ty Adam, słyszysz?

— Czegóż zaś dzwonisz, ty szczerbino stara?

— Na ty brzydki ciążyjanie!

— Kto jest łachem: ja czy ty?

— Cięgiem byś zubrował.

— Daj mi ty jeden spokój, ja ci ich dam dziesięć.

— A gdyby też tak Jurka dać już na służbę?

— Śmierdzi ci on w domu, lebo zawadza?

— Ale pomocy niema z niego dobrej. Sama to sprawię, co mi on dawniej robił, a Janka też już trza przyuczać do roboty, wszak jest szwarny.

— Byłabyś rada, że masz chłopca u

boku, a nie wyganiałabyś go do światu. Ej, żeby ci tak umarł, widziałabyś dopiero!

— Cicho! Bój-że się Boga, co wygadujesz? Chcę dobrze, a ty zawsze jeździsz na swoim języku.

— Nie możesz skończyć? Chłopiec powinien zostać jeszcze doma, bo się nam przyda.

— Jak go będziesz żywił i ubierał, to dobrze. A potem, gdzie też ojcu do dzieci, widzicie go! Jutro pójdzie Jurek na służbę do tego „U brzegu".

— O mnie, za mnie — zrób jako chcesz. Odbiegnij se już teraz raczej kąsek, a bądź cicho, bo ciebie nikt, ani ksiądz, nie przegada.

Taką zwykłą rozmowę toczyli pomiędzy sobą starzy, gdy dzieci głęboki sen już zmorzył. Nazajutrz rano ojciec powlókł się do kamiennych robót, lecz matka zatrzymała się w domu, choć pewnie czekało na nią polne zajęcie. Zdziwiło to Jurka.

— Mamo, zbierać się do szkoły?

— Zbierz się i książki weź, ale pójdziesz gdzieindziej.

Usłuchnął chłopiec, ale zdumienie jego wzrosło. Matka pozostała w domu, on się gotuje, tylko nie do szkoły. Umył się jednak wodą, nabieraną do ust z ciasnego garnuszka i wdział na siebie szkolny, odświętny ubiorek. Reszta dzieci z ciekawością spoglądała na to gotowanie, jeno najmłodsze dawało w przejmującym krzyku i płaczu wyraz swemu niezadowoleniu. Ogarnęła się nieco także matka i zrobiła z dziećmi porządek, oddając Jankowi pieczę nad niemi.

— Żebyście mi tu nie porobiły złego, pamiętajcie. Ja zaraz wrócę.

Rzucając to ostrzeżenie na odchodnem, wzięła ze sobą mały węzełek i zabrała chłopca.

— Pójdziesz na służbę, dziecko!

Nie wiedział Jurek jeszcze dobrze, co oznacza ów wyraz „służba", ale spodziewając się czegoś niezwykłego w każdym razie, potyrtał ochoczo za matką, która trzymała go za rękę. Po chwili zapytał:

— Mamo, a cóż to jest ta służba?

— Służbę musi każdy biedny odbywać. Byłam na niej ja, był i ojciec; nie minie ona żadnego komornika. Nawet do szkoły może, kto chce, nie chodzić, ale na służbę musi pójść.

— A czemu, mamo?

— Nie pytaj. Bóg tak chce.

Posmutniał Jurek i nic więcej nie mówił. Matka także milczała.

Po długiej drodze zaszli do gazdy „U brzegu".

— Trza wam pasterza, mówili mi ludzie — poczęła komornica.

— No, dobrze, przydałby się z wiosną, bo huk roboty.

— Oto mój chłopiec. Nie przyjęlibyście go?

— Co, ten dzieciuch ma być pasterzem bydła? Bo ja, no dobrze, takiego tylko potrzebuję.

— Ale on już też, gazdoszku, poradzi paść na paszonku.

— Kozy, ale nic innego.

— Niech będzie choćby takim, do wszystkiego.

— Mnie jednak, no dobrze, takiego nie potrzeba.

— Nie odpędzajcie nas, gazdo, jakoście żywi. Toć nie posturkiwałabym tak chłopcem, gdyby bieda nie cisnęła. Bylebyście mu dali jeść, bo u nas i tego niema.

— No, chociaż mi niepotrzebny, niech już zostanie, dobrze. Dam jemu okrycie i jadło, wam na jesień parę okłocków słomy i kosz ziemniaków.

— O, jakożeście dobrzy, Bóg wam zapłać!

— No dobrze.

Uszczęśliwiona matka ze łzą w oku schyliła się przed gazdą.

— No. Będzie chodził do szkoły, a poza tem robił. Oto, zaraz coś dla niego. Polejesz mi grządkę gnojówką, rozumiesz? — No dobrze.

Oddalił się, bo w podwórzu krzyk jakiś podnieśli służebnicy. Matka załzawiona przypadła do chłopca, ssącego palec w zakłopotaniu.

— Mamo, to to jest służba?

— Tak, moje dziecko. Już taki nasz los. Za tobą pójdzie wszystkich czworo i dalsi.

— Och, mamo, to ja nie chcę służyć, weźcie mnie napowrót. Boję się bardzo, boję.

— Nie bój się, moje złotko, nic ci się złego nie stanie. Będę przychodziła do ciebie często, nie bój się, nie. A tu masz. Jak będziesz czuł głód, a nie dają ci jeść...

I podała Jurkowi z chustki kawałek chleba.

Tak za jedzenie, odzież, słomę i ziemniaki rozpoczął się komorniczemu dziecku długi czas służby.

Ku rodzinnej ziemi.

Poniżej zamieszczamy wiersz znanego poety ludowego Ferdynanda Kurasia, któremu naród, w uznaniu jego talentu i zasług, ofiarował na własność zagrodę w Dzikowie, koło Tarnobrzega. Przesyłając nam ten utwór, poeta pisze: „Tak bardzo pragnąłbym zasilać częściej „Pracę“ bodaj drobnymi utworami, i nietylko dlatego, że skromne te moje wiersze znalazły już oddźwięk na szpaltach gazetki, ale dlatego, że „Pracę“ śmiało uważam za jedno z najlepiej redagowanych pism ludowych w Galicyi. Niestety obowiązkowemi zajęciami — no i rozlicznymi kłopotami — ustawicznie jestem tak zaambarasowany, że nie sposób wszystkiemu podołać“.

Pożegnałem ojców łany,
Opuściłem domek mój
I ruszyłem w świat nieznany,
W świat daleki, przez trud, znój.

Kraj tu inny za morzami,
Wolne życie, wolny ruch —
Kraj nie skuty kajdanami —
Jednak smutny tu mój duch.

Ku ojczystej lubej stronie,
Gdzie choć w znoju trzeba trwać,
Myśl powrotu żądzą płonie —
Tam bym z wichrem pragnął gnać!

Ziemio moja mazowiecka!
Ziemio krzyżów, znojnych pól,
Słyszysz żale swego dziecka,
Mój serdeczny czujesz ból?

Słyszysz skargi, co z lekkimi
Płyną wiatry w strony twe?...
O, od swojej zdala ziemi
Łzawe, tęskne życie me.

Tam w ojczyźnie żyłem znojem,
Tu wspomnieniem żyję tem,
Żeś ty, Polsko, krajem moim,
Że ja dzieckiem jestem twem.

I ucieka hen za morze
Myśl stęskniona w każden czas,
Tam, gdziem pierwszą ujrzał zorzę—
Ku tej ziemi pełnej kras...

Losie, który mię w żałobie
Trzymasz zdala od swych zórz,
Gdy mi przyjdzie spocząć w grobie—
W mej me szczątki ziemi złóż!

Ferdynand Kuraś.

Rozmaitości.

Odczyt o wyspach Hawajskich. We wtorek, dnia 15 b. m. odbył się staraniem Czytelni kobiet im. Słowackiego w wielkiej sali c. k. Towarzystwa rolniczego w Krakowie odczyt dyrektora Józefa Okołowicza p. t.: Wrażenia z podróży po wyspach Hawajskich. Dyrektor Okołowicz, który jak wiadomo już naszym czytelnikom w początkach bieżącego roku zwiedzał Amerykę Północną, badając naocznie stosunki wychodźcze szczególnie w Kanadzie zachodniej, oparł się w swej trzechmiesięcznej podróży aż na wyspach Hawajskich, leżących het daleko za Ameryką na Oceanie Spokojnym, w połowie drogi między San Francisco a Japonią i Australią. Licznie zgromadzonej publiczności krakowskiej w sali c. k. Tow. rolniczego opowiedział on, ilustrując wykład obrazami świetlnymi o ciekawych dziejach wysp Hawajskich, o stosunkach gospodarczych, społecznych i politycznych, jakie w tym — zdaniem Amerykanów — „raju Oceanu Spokojnego“ panują, a poświęcił także kilka uwag tamtejszym wychodźcom polskim, których tam znajduje się około 400 ludzi. Zostali tam oni ściągnięci przed kilkunastu laty do uprawy trzciny cukrowej. Z początku przeżywali na tych odległych wyspach bardzo złe czasy. Stosunki uległy jednak zmianie na lepsze od czasu, kiedy Stany Zjednoczone zajęły te wyspy. Jako teren dla naszego wychodźtwa nie mogą one być brane zupełnie w rachubę, tak dla ogromnej odległości, jak nizkiej stopy płacy. Na wyspach Hawajskich, oprócz zanikającej tubylczej ludności, która stoi na wysokim stopniu cywilizacyi i kultury, mieszkają również Japończycy, Chińczycy, Amerykanie, Portugalczycy, Rosyanie — i wkońcu garstka naszych.

Sprzeniewierzenie na poczcie w Muszynie. Pisma codzienne doniosły świeżo, że od dwu lat nikt w Muszynie nie otrzymał z Ameryki żadnych przekazów, ani listów. Listonosz bowiem tamtejszy, Jan Pryć sam podpisywał wszystkie przekazy

nadchodzące z Ameryki, a pieniądze sobie zabierał. Aby zaś zatrzeć wszelkie ślady i uniemożliwić porozumienie, niszczył wszelkie listy z Ameryki do swych ofiar adresowane. Ile pieniędzy sprzeniewierzył, na razie nie daje się jeszcze ustalić, ponieważ ciągle zgłaszają się nowi poszkodowani. Na razie szkoda wynosi 900 kor., nie licząc dolarów, które zwykle przychodziły w listach. Sprytnego listonosza przyaresztowano. Nowy ten, jeden z wielu przykład, powinien stanowić dla naszych wychodźców ostrzeżenie, ażeby nie byle jako przesyłali pieniądze do kraju. Kwot pieniężnych żadnemu listowi, ani nawet poleconemu powierzać nie warto, bo list zanim dojdzie rąk adresata, przejdzie wiele uczciwych i nieuczciwych rąk, a poczta za zgubę zwykłego listu odpowiedzialności nie bierze, tak samo za zawartość listu poleconego. Najlepiej przesyłać pieniądze przez pocztę i banki, bo przesyłka nigdy się nie zgubi. Jeżeli w jakimś, jak w powyższym wypadku pieniądze nie dojdą, to poczta należność musi zwrócić za okazaniem poświadczenia, wydanego przy wysyłaniu kwoty. Ci, którzy do Muszyny przesłali pieniądze przekazem, przez bank, lub wreszcie listem pieniężnym, pieniądze otrzymają z powrotem. Kto jednak w liście przesyłał dolary, dla tego strata będzie nauką, że z pieniędzmi należy obchodzić się ostrożnie.

Dla bezrolnych. Wiec oświatowy na cześć T. Kościuszki, odbyty w Krakowie 13 kwietnia 1913 r. w przepełnionej sali c. k. Towarz. rolniczego krakowskiego uchwalił na wniosek b. posła Wielowiejskiego jednogłośnie rezolucyę, której wykonanie obchodzić musi tych wszystkich, którzy wiec ten zwołali, temuż przewodniczyli i wygłaszali referaty lub tylko na programie figurowali, w pierwszym zaś rzędzie posłów włościańskich do Sejmu i Rady Państwa obdarzonych zaufaniem i wyborem Narodu.

Rezolucya brzmi jak następuje:

„Ze względu na niezmierną doniosłość zapobieżenia skutkom rozdrobnienia gruntów włościańskich, oraz potrzeby rozszerzenia posiadania ziemi w rękach ludu polskiego na podstawie praw obowiązujących, przypomina Zgromadzenie jednomyślną uchwałę wiecu oświatowego krakowskiego z dnia 14 kwietnia 1912, w której naród polski zastrzega sobie prawo nabywania i posiadania ziemi na całym obszarze naszego kraju i postanawia w myśl uchwały posłów ludowych we Wiedniu z dnia 4 grudnia 1902:

Stworzenie komisyi złożonej z mężów zaufania ludu, którąby doprowadziła do sformułowania warunków nabywania lub dzierżawienia ziemi w Galicyi wschodniej, jako też poczyniła kroki ku uzdrowieniu kredytu hipotecznego i parcelacyjnego włościańskiego, a przedewszystkiem usunięciu kosztownego i rujnującego pośrednictwa, działającego na szkodę zarówno strony sprzedającej, jak zwłaszcza kupującej, t. j. włościan potrzebujących ziemi dla korzystnego zużytkowania swej pracy.“

Powrót „nieboszczyka“ z Ameryki. Z Lubelskiego, w Królestwie Polskiem, donoszą do dzienników warszawskich o następującem osobliwem zdarzeniu:

We wsi Kozicach, w powiecie lubelskim, pewien włościanin małorolny, wyemigrowawszy do Ameryki, dorobił się tam po kilku latach ciężkiej pracy 4000 rubli i zapragnął wrócić do rodzinnego kraju. W drodze, jeszcze na ziemi amerykańskiej, napadł na niego jakiś drab i zrabował mu całą gotówkę wraz z paszportem. Biedak pozbawiony wszelkich środków, musiał pozostać na obczyźnie i na nowo zabrać się do pracy. Zgnębiony nieszczęściem, nie odzywał się wcale do rodziny. Tymczasem — trzeba szczególnego trafu — ów bandyta wkrótce po dokonanym rabunku nagle zmarł. Władze amerykańskie, znalazłszy przy trupie paszport owego chłopa i 4000 rubli szczęśliwie jeszcze nie roztrwonione, odesłały pieniądze i akt zajścia mniemanej żonie do Kozic. Ciepła wdówka znalazła wkrótce starającego, a że babie bez chłopa w gospodarstwie „nijak“ — wyszła więc za mąż. Po kilku latach emigrant zarobiwszy znowu kilkaset rubli, wybrał się w powrotną drogę do domu, nikogo jednak o swoim przyjeździe nie uprzedzając. Przybył do domu, kiedy w chałupie odbywało się wesele najstarszej jego córki. Pojawienie się „nieboszczyka“ w orszaku weselnym sprawiło oczywiście nadzwyczajną sensacyę. Zjawili się też przedstawiciele władzy policyjnej i wszyscy bohaterowie tej osobistej tragikomedyi zostali zaaresztowani. Wkrótce sprawa wyjaśniła się pomyślnie dla podejrzanych. Konsystorz unieważnił ślub i prawowity małżonek po tylu przygodach odzyskał nareszcie rodzinę i dobytek.

Zgon misyonarza wśród wychodźców polskich. W Danii, na wyspie Laaland, zmarł ks. Józef Knappen, rodem Holender-

czyk, który się zajmował gorliwie polskiem wychodźtwem zarobkowem w Danii, dbał o dobro jego doczesne i duchowe, zaspakajał potrzeby religijne w języku polskim i chronił przed wyzyskiem. Wysłany na misyę do Danii, zetknął się tam z Polakami i przylgnął do nich sercem; dla nauczenia się języka udał się w Poznańskie. Bronił wychodźców naszych też często na sądach duńskich i założył dla nich Kasę oszczędności. Zmarł na szkarlatynę, zaraziwszy się od jednego z umierających Polaków przy pełnieniu obowiązków duszpasterskich. Wychodźtwo polskie w Danii ponosi przez jego śmierć ciężką stratę.

Bezpłatna wypożyczalnia P. T. E., o której powiększeniu donosiliśmy, została na nowo uporządkowaną. Nowy katalog zostanie wydrukowany i przesłany wszystkim członkom naszej wypożyczalni. Nadmieniamy, że wystarczy złożyć 1 koronę (90 fen., 1 fr. 10 ctm.) kaucyi, żeby z wypożyczalni zupełnie bezpłatnie korzystać. Kaucyę zwraca Towarzystwo, gdy członek o nią się upomni, a jednocześnie odeśle ostatnią wypożyczoną książkę. Wypożyczalnia przedstawia bardzo wielką korzyść dla sezonowych robotników w cudzych krajach, którzy, miast daremnie czas wolny marnotrawić, mogą nad książką użytecznie czas spędzić.

Zgoda buduje, niezgoda ruinuje. W sobotę dnia 5 b. m. skończył się w sądzie kryminalnym miasta Chicago proces polskiego biskupa - sufragana archidyecezyi chicagoskiej ks. Pawła Rhodego przeciwko miejscowemu „Dziennikowi Narodowemu“ za oszczerstwo, jakie wspomniany dziennik przeciwko niemu zamieścił. Proces ten wzbudził wielkie zainteresowanie między Polakami w Ameryce ze względu na osoby, zajmujące wybitne stanowiska w społeczeństwie naszem na wychodźtwie. Ks. Paweł Rhode jest bowiem pierwszym bardzo poważanym biskupem polskim w Stanach Zjednoczonych, a p. Michał Kruszka, właściciel „Dziennika Narodowego“, jak również „Kuryera Polskiego“ z Milwaukee, położył bardzo wielkie zasługi na polu wydawnictwa pism, dzieł, broszur polskich w Ameryce. Cały proces, jak wykazało się w ciągu pięciodniowych rozpraw, był wynikiem nieporozumienia. Ks. biskup Rhode zwrócił się na jednem z kazań przeciwko złej prasie, piętnując jej szkodliwą działalność. Tymczasem jedno z pism chicagoskich, powodowane najpewniej walką współzawodniczą, omawiając kazanie ks. biskupa Rhodego, wskazało, że słowa o złej prasie odnoszą się wyłącznie do „Dziennika Narodowego“, który to dziennik ks. biskup miał nawet wymienić. „Dzien. Nar.“ w odpowiedzi na te zarzuty zaczepił w sposób wcale nie przykładny ks. biskupa, że tenże zmuszony był pismu wytoczyć proces. Rozprawa skończyła się uwolnieniem wszystkich oskarżonych, wyjaśniając nieporozumienie, powstałe stąd, że ks. biskup Rhode na „Dziennik Narodowy“ nie napadał, a „Dzien. Nar.“ umieścił przeciwko niemu oszczerczy artykuł tylko na podstawie fałszywej notatki o jego kazaniu. Ubolewać należy, że Polacy w Stanach Zjednoczonych przez swoją niezgodę wystawiają się na pośmiewisko obcych narodów.

Wieści z farmy w Stanach Zjednoczonych. Nieszczególny rok, jaki się u nas zapowiada, daje się we znaki również w innych krajach, jak np. w Ameryce. Z listu prywatnego od wychodźcy ze Stanów Zjednoczonych dowiadujemy się, że pogoda tamtejsza również jest zła. „Zima była długa i uprzykrzona — słowa listu — jedna z najgorszych, jakie dotychczas tu widziałem. Przyszedł kwiecień, ale mokry, zimny, ponury, dżdżysty. Słońce pokazać się nie chce, błota grubo na dwie stopy. Nawet śnieg jeszcze pada. Lecz to wszystko nic w porównaniu z tem, co działo się w stanach środkowych, w Nebraska, Indiana i Ohio, pewnie już tam o tych wichrach i powodziach doniosły gazety. Innymi latami o tym czasie z początkiem kwietnia, wiosna już w rozkwicie, a obecnie pola wyglądają, jakby w listopadzie. Na farmie pracować jeszcze nie można“.

Napad wilków. Do „Gazety Katolickiej w Kanadzie“ donoszą z kolonii Dead Lake w stanie Ontario: Niedawno przybył tu z British Columbia niejaki Józef Kolczak, który w połowie lutego udał się do ostępów, położonych o dwie mile na północ od osady. Wtem napadła go gromada wilków. Kolczak, wystrzeliwszy raz, nie miał czasu nabić strzelby ponownie, cofnął się tylko pod drzewo i zaczął się bronić dużym toporem. Widać groza śmierci, szczerząca się do niego z paszcz rozżartych bestyi, dodała mu siły, gdyż w krótkim czasie zabił trzy najzuchwalsze wilki, poczem reszta drapieżników uciekła. Myśliwy twierdzi, że ocalenie swoje zawdzięcza jedynie drzewu, które broniło mu pleców, inaczej wilki z pewnością byłyby go rozszarpały. Kolczak jest wybornym strzelcem; pochodzi on z Suchej w Galicyi.

Z KRAJU i ze ŚWIATA



Reforma wyborcza do Sejmu krajowego upadła. Oświadczyli się przeciwko niej biskupi, czem stronnictwa, popierające reformę, zostały rozbite. Powody, jakie zmusiły naszych biskupów do zajęcia takiego stanowiska, wyłuszczyli oni w obszernem piśmie. Nie godzą się mianowicie na zasadę wydzielenia ruskich okręgów wyborczych, nie godzą się również na „wydzielenie“ wyborców chrześcijańskich z okręgów miejskich wobec ludności żydowskiej, a wreszcie wyrażają przekonanie, że nowa reforma wyborcza zagraża zalewem radykalizmu, niebezpiecznego dla religii. Oświadczenie biskupów wywarło ten skutek, że stanęły natychmiast wszystkie rokowania i obrady nad ordynacyą wyborczą. Namiestnik i grono wybitniejszych posłów wyjechali do Wiednia, gdzie, jak słychać, dr. Bobrzyński podał się u cesarza o uwolnienie go od obowiązków namiestnika. Rząd wiedeński pragnie koniecznie uratować położenie i stara się ze stronnictwami krajowemi nawiązać rokowania. Czy mu się jednak uda ocalić reformę wyborczą w tej formie, jaką dotychczas przybrała, rzecz wielce wątpliwa. Zresztą parlament zbiera się znowu z początkiem maja i nie wystarcza czasu na załatwienie tej piekącej sprawy krajowej.

Rosyjska rada państwa zajmowała się w ubiegłym tygodniu samorządem miejskim Królestwa polskiego. Stanęło na tem, że język polski ma być zupełnie wyrugowany z posiedzeń rad miejskich. Nawet nazwa „Królestwo Polskie“ będzie usunięta, a zastąpiona wyliczeniem guberni nadwiślańskich.

W połowie maja odbędą się w Prusiech wybory do sejmu. Rodacy nasi w zaborze niemieckim przygotowują się do ciężkiej walki z głębokiem poczuciem obowiązku. Chwila to bardzo smutna, bo nie przyświeca jej nadzieja zwycięstwa. Liczba posłów naszych do sejmu pruskiego prawdopodobnie się zmniejszy. Do sejmu przeszłego wybrano 15 polskich posłów, teraz zachodzi niebezpieczeństwo utraty mandatów na Górnym Śląsku. Wina to nie nasza. Pruska ustawa wyborcza jest bardzo przestarzała, jak powiedział niegdyś sam Bismarck. Ustawa wyborcza daje ogromny przywilej ludziom i klasom bogatym, ludność wieśniacza i robotnicza na tok wyborów nie wywiera żadnego niemal wpływu. Ponadto wybory są jawne, wskutek czego rząd może zmusić do wybierania kandydata, jakiego sam postawi. Zły dla nas skutek tych warunków ujawnia się bardzo jaskrawo przy porównaniu z wyborami do parlamentu Rzeszy niemieckiej, gdzie wybory są równe i tajne. Wówczas więcej ludzi głosuje i w tych samych powiatach przechodzi polskich kandydatów 20-tu i więcej.

Na Górnym Śląsku wybuchnął w tych dniach strajk górników, obejmujący na razie 40 tysięcy ludzi. Strajkiem kieruje polskie Zjednoczenie zawodowe. Z Wrocławia wysłano do okolic objętych strajkiem nadzwyczajny pociąg z policyą i żandarmami. Z powodu strajku polscy górnicy z Górnego Śląska proszą górników z innych dzielnic, ażeby teraz wstrzymali się od przyjazdu za pracą do miejscowości, w których oni podjęli strajk.

W Belgii wybuchnął również strajk powszechny. Częściowo rozpoczął się on już 13-go b. m. Jest to strajk polityczny, a ma na celu wywalczenie równego głosowania do parlamentu. Ogółem strajkuje już 400 tysięcy ludzi.

Na Bałkanach — zastój. Na bojowej linii okolicy Czataldży obie strony wyznaczyły między sobą pas ziemi, na którym znajdować się mogą i Turcy i ich przeciwnicy. Pomiędzy Bułgaryą a Turcyą nastąpiło 10 dniowe zawieszenie broni. Pomiędzy Bułgaryą a Rumunią trwają układy o przyszłe granice obu państw, o powiększenie Rumunii. Głównie jednak uwaga polityków zwrócona jest wciąż jeszcze na Czarnogórę, która ćwiekiem stanęła w dążeniach pokojowych Europy, i ani rusz ustąpić nie chciała, a bodajże i teraz jeszcze nie chce, a przez to Europa nie może stworzyć niepodległej Albanii, czego stanowczo domaga się Austrya. Bo to — sądzi ona — ma się przyczynić do równowagi wpływów na Bałkanach: Austrya jest zdania, że przez Bułgaryę, Serbię i Czarnogórę Rosya rozpostrze tu swoje wpływy, i te Austrya chce zrównoważyć przez swoje, bo liczy, że Albania Austryi będzie przyjazną.

Jak z powyższego widzimy, położenie jest niezdecydowane. Coś się jeszcze waży. Podobno pomiędzy Serbami a Bułgarami przyszło do sporu przy zajmowaniu

miasta Iszbiku. Chcą też Bułgarzy zająć Weles, a Serbowie nie wpuszczają ich do miasta, więc Bułgarzy grożą, że wejdą przemocą.

Gazety angielskie piszą, że pokój jest zapewniony, że pełnomocnicy stron wojujących niebawem zbiorą się w Londynie, ażeby omówić warunki pokoju. Urzędownie nie potwierdzono tej wiadomości.

Dzienniki europejskie wciąż jeszcze zajmują się wypadkami, które towarzyszyły zajęciu Adryanopola. Oto pewien dziennikarz francuski znalazł się w pociągu, którym jechała część zwycięskiego wojska bułgarskiego z pod Adryanopola do stolicy swojej, do Sofii. Tak tę podróż swoją opisuje:

„Lokomotywa ukwiecona. W wagonach gwarno, wesoło. W moim oddziale znajdowali się żołnierze dwukrotnie już ranni. Po raz trzeci szli w ogień na plac boju. Na stacyach młode kobiety, przybrane odświętnie, witały junaków. Z ich postawy, z twarzy skupionych, przejętych ważnością chwili, widać, że całem sercem biorą udział w wypadkach dziejowych. Te kobiety przyczyniły się do zwycięstwa: podczas gdy ojcowie i mężowie walczyli i zwyciężali, one siały, orały, zastępowały mężczyzn w robocie. Żadna nie nosi żałoby, żadna nie płacze po swoich poległych. Czas będzie na to jeszcze. Dzisiaj nie pora na lamenty, choć tylu braci, narzeczonych, mężów, ojców padło pod murami Adryanopola. Zresztą zarząd wojskowy nie ogłasza jeszcze listy poległych, aby nie mącić ogólnej radości.

Rozmawiam z towarzyszami podróży. Dowiaduję się, że na 100 Bułgarów 95-ciu umie czytać i pisać. Najprostszy wieśniak zna przyjaciół i wrogów swego kraju.

„Każdy z nas, padając trupem, wie dlaczego umiera—rzekł mi pewien żołnierz."

— Cóż dziwnego, że zwyciężają? — kończy ów Francuz.

WESOŁY KĄCIK.

Odpłacił się.

W pewnej miejscowości górskiej zamówił gość u gospodarza dwa osły. Przyprowadził je młody chłopak, który miał gościowi służyć jako przewodnik. — Gdy je wprowadził na podwórze, odezwał się gość żartobliwie:

A to jesteście wszyscy trzej...

Chłopak zadąsał się, że go nazywano osłem, ale nic nie odpowiedział.

Gdy wieczorem z wycieczki wrócił, pyta go gość, ile się należy za wypożyczenie osłów.

Dziewięć koron — odpowiada chłopak.

Jakto? — pyta gość.

Toć się płaci tylko po trzy korony za osła.

Słusznie — odrzekł chłopak — ale kiedy byłem osłem, gdy tu przyszedłem, chcę też być osłem, gdy odchodzę.

Osoby, które mają kłopot z przesyłaniem nam przedpłaty z Ameryki, zawiadamiamy, że przedpłatę na „Pracę" w kwocie 1 dolara rocznie przyjmują: Księgarnia Polska w Nowym Jorku (adres: Polish Book Importing Co, 83, Second Avenue, New York, N. Y.) i księgarnia polska w Winnipegu (adres: Catholic Book Store, 305, Selkirk Ave, Winnipeg, Man. Canada).

Za pośrednictwem tych księgarń może każdy, kto mieszka w Stanach Zjednoczonych lub w Kanadzie, wypisywać sobie naszą „Pracę".

Odpowiedzi Redakcyi.

Maciej Chudzik, Królestwo Polskie. W Argentynie nie wychodzi żadne pismo polskie.

Józef Bałos, Saksonia. Prenumeratę otrzymaliśmy. Numery „Pracy" wysłano od Nowego Roku.

Józef Lenik, Dania. „Polski Przegląd Emigracyjny" jeszcze w bieżącym roku nie wyszedł.

Tomasz Cwrynar, Francya. Czy adres dobry, bo napisaliście go dość niewyraźnie. Przedpłata roczna na „Pracę" we Francyi wynosi 4 fr. Prosimy nadesłać wkrótce należność.

Jan Lesik. Stany Zjednoczone. Kalendarz „Polak" z bieżącego roku można jeszcze zamawiać. Cena dla prenumeratorów „Pracy", zniżona: do Stanów Zjednoczonych razem z przesyłką poczt. 15 centów.

Michał Grzywacz, Westfalia. Samouczek polsko-francuski w tej chwili wyczerpany. Zarządzono nowy nakład i po wyjściu drugiego wydania prześlemy Wam jeden egzemplarz.

Jan Rozchwał, Saksonia. Uprzejmie dziękujemy za pamięć o „Pracy" i polecamy się nadal Waszej pamięci.

Czytelnicy! Polecajcie wszystkim, którzy wybierają się na obczyznę, czy to do krajów europejskich, czy do Ameryki, aby o pouczenie, kontrakty, karty okrętowe zwracali się tylko do naszego Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie!

Popierajmy wszyscy nasze P. T. E.!

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Józef Okołowicz. Drukarnia „Prawdy“, pod zarządem Józefa Jondry w Krakowie.